

# CYKLE I CYKLICZNOŚĆ

Prace dedykowane  
Pani Profesor Krystynie Jakowskiej

Pod redakcją Anny Kieźuń i Dariusza Kuleszy

TRANS { HUMANA

Białystok 2010

Recenzent  
Prof. dr hab. Zygmunt Ziątek

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Krzysztof Tur  
Redakcja: Elżbieta Kozłowska-Świątkowska  
Korekta: Zespół  
Redakcja techniczna i skład: Stanisław Żukowski

Opracowanie indeksu: Dariusz Kulesza, Stanisław Żukowski

© Copyright by Trans Humana Wydawnictwo Uniwersyteckie, Białystok 2010  
15-327 Białystok, ul. Świerkowa 20  
Tel./fax: 85 745 72 86  
<http://pip.uwb.edu.pl/transhumana>; e-mail: [transhum@uwb.edu.pl](mailto:transhum@uwb.edu.pl)

Wydanie I

Wydanie publikacji zostało sfinansowane przez  
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

Wszystkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

ISBN 978-83-61209-42-3

Druk i oprawa: MZGraf, s.c., tel. 86 275 41 31, [www.mzgraf.pl](http://www.mzgraf.pl)

MARCIN WOLK

Z książką na kolanach siadam w rogu pastwiska...  
O *Listach z Rabarbaru* Edwarda Redlińskiego

Opublikowany po raz pierwszy w 1967 roku debiutancki zbiór nowel Redlińskiego układa się w cykl opowiadający o dorastaniu wrażliwego wiejskiego chłopca, o jego wtajemniczeniu w kulturę narodową i światową, o wtórnym rozpoznaniu i utracie kultury chłopskiej. Przynosi humorystyczny, lecz zabarwiony nostalgią wizerunek macierzystego świata z jego utrwalonym przez wieki porządkiem istnienia, hierarchią wartości, wzorcami ról, repertuarem zachowań, gestów i oczekiwań wobec życia. Zawiera też jaskrawo satyryczny obraz świata zewnętrznego – miejskiego i po peerelowsku nowoczesnego. Zderzenie tych dwu rzeczywistości, zanikanie pierwszej i ekspansja drugiej, ukazane z osobistego punktu widzenia autobiograficznego narratora-bohatera, który przemierza drogę ze wsi do miasta, wyznacza ideową oś cyklu i spaja go fabularnie. Silnym zwornikiem całości jest biografia głównej postaci – od pastuszego dzieciństwa po próg inteligenckiej dorosłości – przedstawiona w serii przybliżeń obrazujących kolejne etapy procesu inicjacji w tajemnice ciała, prawidła egzystencji i reguły społeczne. Na te uporządkowania nakładają się jeszcze powtarzalne rytmy pór roku, świąt i odpustów, wyjazdów, a potem odwiedzin w rodzinnym domu...

Tak mogłaby się zaczynać encyklopedyczna charakterystyka *Listów z Rabarbaru*. Wszystkie wymienione cechy książki, zarówno tematyczne, jak konstrukcyjne, czytelnik raczej rozpoznaje, niż odkrywa – tak dobrze wpasowują się w utrwalone wzorce pisania o wsi, o dzieciństwie, o dojrzewaniu. Ale *Listy...* nie są przecież książką tuzinkową. O ich wyjątkowości decyduje po pierwsze wdzięk, z jakim autor łączy w kreacji swojego świata reporterską wiarygodność

z groteskową szarżą, po drugie zaś to, co stanowi symboliczne spoiwo cyklu – ciekawie i wielostronnie wykorzystany motyw lektury i pisma. Nim właśnie chcę się bliżej zająć.

Tytułowe „listy z Rabarbaru” nie są prawdziwymi listami, chyba żeby uznać ten termin za synonim reportażu z terenu, korespondencji nadsyłanej z jakiegoś egzotycznego dla odbiorcy miejsca. Zwroty do czytelnika i etnograficzno-socjologiczny charakter relacji w pewnym stopniu uzasadniają taką interpretację tytułu. Schemat komunikacyjny listu odgrywa jednak u Redlińskiego istotniejszą rolę i bywa przywoływany zupełnie dosłownie. Jedno z opowiadań zostało w całości ukształtowane jako wypowiedź epistolarna – list wiejskiego chłopaka do redakcji lokalnej gazety. Zarówno wybór adresata, jak cel pisania i projektowany w tym tekście typ kontaktu wyznaczają pewien wzorzec komunikacyjny obowiązujący w całym zbiorze. Jak często bywa, wszystkie te informacje zakodowane są w nagłówku listu: „Drogi Redaktorze, Drogie Redaktorki i wszyscy Pracownicy Redakcji i Partii, pomóżcie mi rozwiązać taką sytuację” (*List*, s. 34)<sup>1</sup>. Pisma półoficjalne, ale wyrażające osobisty dramat jednostki, kierowane poza świat rodzinnej wioski, w przestrzeń publiczną – do prasy lub innych organów socjalistycznego państwa – jednak z nadzieją na rozwiązanie prywatnej sprawy, pojawiają się jeszcze w kilku opowiadaniach jako cytaty struktur, nieobejmujące już całego utworu.

Tekstem założycielskim, inicjującym ten epistolarny cykl w cyklu, jest oczywiście prozalne pismo ojca w sprawie haceli. List-wiersz, po częstochowsku rymowany, ilustrowany niezdatnym rysunkiem okaleczonego „koniopsa”, a rozpoczęty poetycką apostrofą do zwierzęcia, poświadcza autentyczny ból kogoś, kto o konia dbał zawsze bardziej niż o siebie i swoją rodzinę, wpisuje się więc w archetypowy wizerunek chłopca i chłopskiej doli. Dokumentuje także zjawisko nowsze: nie tylko polityczną, ale i materialną zależność wiejskiej wspólnoty od miasta i państwa, pozorność jej wytwórczej samowystarczalności. Dowodzi również znajomości przez piszącego konwencji obowiązujących w tym drugim świecie. Ojciec wie, jak zacząć („Droga redakcjo”), potrafi odpowiednio nazwać swoje kłopoty („bolonczki”), wie, co napiętnować (w wiejskich sklepach zamiast sprzętu rolniczego sprzedaje się „wódki butele”), rozumie swoje upośledzenie kulturalne („Proszę ulepszyć moje pismo i wydrukować”) i wie, jak się podpisać („Józef Kosy / wieś Rabarbar”, *Ojciec*, s. 9). Ta kompetencja w zakresie urzędowej nowomowy kontrastuje z nieporadnością językową i wyeksponowaną w opowiadaniu niezwykłością sytuacji aktywnego zwracania się do władzy (bo to jej emanacją jest przecież „redakcja”) i niemal nadnaturalnością samej czynności pisania: ojciec „papier sobie podać każe i ołówka żąda. A przecież do podpisywania nic

<sup>1</sup> Cytaty podaję według edycji: E. Redliński, *Listy z Rabarbaru*. Wyd. 2. Białystok 1986. W wydaniu pierwszym zbiór zawierał jeszcze jedno opowiadanie epistolarne – list-donos pt. *Naprawianie świata*.

nie ma. Jezus, myśli swoje na papier przelewać będzie! Matka strwożona szybry w piecach zasuwa. Mnie tajemnica przyprawia o dreszcze” (s. 8).

Ten, jak i inne „listy z Rabarbaru”, jest, rzecz jasna, przejawem komunikacji jednokierunkowej. Redakcja nie odpowie, a pismo „ulepszy” tak bardzo, że trudno je będzie poznać (choć to, co najważniejsze – hacele, nazwisko i nazwa wioski – pozostanie). Władza zaś zareaguje dopiero wtedy, gdy hacele nie będą już potrzebne – wiosną przyśle bliżej nieokreślonych, a mimo to groźnych „urzędników”. Przypomną oni Kosemu jego właściwe miejsce, dając do podpisania protokołów z wizyty i zniechęcając do wysyłania kolejnych listów do gazety, a namawiając do donosów: „Następnym razem piszcie prosto do nas: ulica Postępu Rolniczego sześćdziesiąt pięć” (s. 14). Haceli w spółdzielni nadal nie będzie. Jednak sama gazetowa notatka, dzięki której mieszkańcy Rabarbaru po raz pierwszy „czytają w druku nazwę naszej wsi” (s. 11), stanowi w ich życiu przełom. Kosy znajdzie naśladowców. Starsi będą jak on pisali do redakcji, młodszy załatwi prywatne porachunki poprzez wpis do restauracyjnej książki życzeń i zażaleń.

Ojciec ma także bezpośredniego następcę w osobie syna. Paweł Kosy – literackie alter ego Edwarda Redlińskiego – jako pilny uczeń miejscowej szkoły zaczyna pisarską karierę od poprawienia interpunkcji ojcowego pisma. Podobnych usług zażąda od niego sąsiad, a po kilkunastu latach jeden z rówieśników. Między tymi wydarzeniami stoi wspomniany list do gazety, w którym chłopak skarży się na swoje życie „na poziomie pańszczyzny z XIX wieku” (*List*, s. 34), udowadnia matematyczne i sportowe talenty oraz błaga, by pomóc mu w wydobyciu się do miasta. We wszystkich tych tekstach, z pijacką skargą na kelnera włącznie, widać inwazję języka peerelowskich gazet jako podstawowego wzorca mowy. Jest on przez Redlińskiego – który pisał swoje opowiadania po pierwszych doświadczeniach pracy w redakcji „Gazety Białostockiej” – pokazany w całej sztuczności, a próby nagięcia go przez nadawców do wyrażenia nieideologicznych i pozaoficjalnych treści prowadzą do jaskrawych efektów komicznych. Jak w *Liście*, gdzie język partyjnej agitki skrzyżowany z milicyjnym protokołem (albo stylistyka nadętego wstępniaka zmieszana z terminologią kroniki obyczajowo-kryminalnej – w danym kontekście historycznym to właściwie wszystko jedno) zostają wprzęgnięte w opowieść o współczesnym Antku czy Janku Muzykancie:

Dnia 22 lipca, gdy cały świat obchodził Święto Odrodzenia, ja pasąc krowy rano zasnąłem i krowy weszły w naszą seradelę i ją napoczęły. To ojciec przyleciał i mnie śpiącego tak zbił, że gdy obudziłem się, zauważyłem na całym ciele większą ilość siniaków (s. 34).

Tu i w innych fragmentach u podłoża stylistycznego dysonansu leży wysiłek dostosowania się nadawcy do wzorców językowych przypisywanych adresatowi, stanowiącemu w tej pozornej komunikacji stronę jawnie dominującą. Aby

zaskarbić sobie przychylność, zwiększyć szanse na pozytywną reakcję możnego patrona, klient naśladuje cechy jego wypowiedzi, manifestuje akceptację dla jego systemu wartości i wykonuje inne poddańcze gesty („będę się uczył wieczorowo dla dobra Ojczyzny, a ponadto 60 procent swego zarobku będę oddawał dla rządu Polski Ludowej”, s. 37).

Redliński pokazuje przy tym, że proces przejmowania kodów i symboli zachodzi także poza sytuacjami dyktowanymi przez taktykę i wykracza poza sferę komunikacji pisemnej, a gazeta jest tylko jednym z narzędzi, jakimi posługuje się miasto (państwo) w trakcie politycznej i kulturowej inwazji. Poszerzanie horyzontów poznawczych za pośrednictwem niosącej oświatę gazety, szkoły i podobnych instytucji jest zresztą iluzoryczne, zamiast całościowej wiedzy, pozwalającej lepiej rozumieć świat i siebie, oferują one zbiór informacji, przypadkowy jak lista haseł ze słownika wyrazów obcych, które wkuwa na pamięć przygotowujący się do quizu Andrzej z opowiadania *Sztanga*, kuszą wychowaną w niedostatku młodzież wizjami zamożności, karierami kierowców, robotnic fabrycznych i kelnerów. Na przestrzeni całego zbioru widać też, że otwieraniu się świata towarzyszy rosnąca ingerencja państwa w życie wiejskie i rodzinne, zacieśnianie przestrzeni swobody, coraz ściślej definiowanej przez przepis, nakaz, zakaz. Wolny duchem może w tej rzeczywistości pozostać tylko ktoś taki jak stryko Filip, „król życia”<sup>2</sup> kierujący się maksymą: „Mało ja dla państwa daję, ale i mało biore. Łaski nie chce, podań nie pisze” (*Stryko Filip*, s. 118).

Wieś, zwłaszcza młoda, traci własny fason, pozbywa się go na rzecz podpatrzonych stylów, które uznaje za lepsze, przyjmuje za swoje i egzekwuje od innych. Dotyczy to mowy, ubrania, gestów. Pijany Antek udziela reprimendy zbyt swobodnemu towarzystwu w restauracji:

– Za przeproszeniem, gdzie państwo są – spytał uprzejmie – w lokalu czy w chlewie?

Zbaranieli. Odpowiedział za nich.

– Jesteśmy w Krystalu, proszę ja państwa, i proszę uważać na słowa.

Co rzekłszy skłonił się i godnym krokiem powrócił do nas. (...)

– Proszę bardzo, konsumujemy.

Tym ostatnim słowem dobił ich do reszty. Nie minęło pięć minut, a już po sąsiedzku zasiedli jacyś przyzwoici ludzie, w czarnych garniturach, którzy od razu zamówili dwie półlitrowki czystej, raz po raz wznosili kieliszki, odstawiając mały palec, i na wyprzódki podpalali sobie nawzajem papierosy (*Odpust*, s. 74–75).

Paweł i Antek „czytają” innych gości restauracji, tak jak czytają siebie („Spojrzałem do lustra. Nasz stół wyglądał bogato. I prezentowaliśmy się świetnie”, s. 74). Motyw przeglądania się w zwierciadle – ujęty dosłownie albo metaforycznie – powraca w książce wielokrotnie, zazwyczaj służąc podkreśleniu atrak-

<sup>2</sup> E. Redliński, *Sztanga*. W: tegoż, *Listy z Rabarbaru*. Warszawa 1967, s. 153. Ten i liczne inne jawnie komentatorskie fragmenty zniknęły w wydaniu kolejnym.

cyjności przybranej pozy, ale też jej chwiejności i niedopasowania, często też współwystępuje z motywem aktorstwa, kostiumu, charakteryzacji. Paweł, ostrzyżony przez kolegę z akademika „na Kennedy’ego”, sięga po lusterko: „Obraz do złudzenia przypominał mi okładkę »Ekranu«” (*Savoir vivre*, s. 57). Wystrojony po miejsku Antek przychodzi na myśl „Czarusia Barykę przerobionego z Boryny”:

(...) nasz Antek zawsze cesał się do góry, plerezę miał jak Paderewski. Żona, bo któż by inny, uczesała go w studencki okapik. Nie dość tego, ubrała go w obcisłe spodnie, choć jest biodrzasty i kuferkowaty, wystroiła w bordową muszkę pod śnieżnobiałym kołnierzykiem. A jurandowe oko przysłoniła okularami à la Cybulski (*Odpust*, s. 69–71).

W jednym z opowiadań Paweł, porwany autokreacyjną grą, otrzymuje od szwagra, który odgrywa tu rolę społecznego lustra, surową reprimendę – nie za wygląd, lecz za rzecz w relacjach międzyludzkich znacznie istotniejszą – sposób mówienia. „Słuchaj, kurwa! Jeszcze raz do swojego powiesz »pan«, a dostaniesz w mordę, jasne?” (*Savoir vivre*, s. 60). To, co w miastowej mowie miało wyrażać szacunek, na wsi jest impertynencją jako szydercze wykorzystanie formy zarezerwowanej dla panów z miasta, wcale niegrzecznej, narzucającej dystans i podszytej lekceważeniem (Paweł tytułuje rozmówcę na przemian „panem Kazimierzem” i „panem Kaziem”). Jakiś czas później, podczas wizyty szwagra w akademiku, chłopak już świadomie lawiruje między zwyczajami językowymi wspólnot, na których pograniczu się znalazł: „– A co sprowadza do stolicy? – zagadnąłem bezosobowo. Rabarbarskie »wy« rozśmieszyłyby chłopców, »ty« mogłoby go urazić, o dwadzieścia lat starszego de mnie” (*Sztanga*, s. 105).

Zanim jednak Paweł zacznie się przeglądać w lustrze rodzimej wspólnoty, zanim ujrzy na nowo tę wspólnotę z obcej, miejskiej perspektywy, ogląda siebie i swoje otoczenie w zwierciadle literatury, głównie – to wątek, który wiąże *Listy...* z obsesją znaną z późnej twórczości Redlińskiego – zamerykanizowanej literatury popularnej. Jest ona, obok gazety, ważnym i również jednokierunkowym kanałem, jakim zewnętrzny świat komunikuje się ze wsią, a przynajmniej z Pawłem, który od wczesnego dzieciństwa ukazywany jest jako człowiek książkowy. W młodzieńczych lekturach odnajduje rzeczywistość z pozoru przypominającą świat jego własnych pastuszych doświadczeń: samotność, kontakt z przyrodą, przyjaźnie ze zwierzętami.

Poznałem słowo „kowboj”. Kowboj – chłopak od krów, jak ja! Ale nie dla krów żyje kowboj, nie dla nich ćwiczy oko, ryzykuje krew, dziewczynę jak różę opuszcza o świcie. Mustang i wiatr! Góry skaliste, prerie niezmierzone! Lasso i kołty dwa! Galop wokół stada... (*Zdrada*, s. 22).

Wczesne doświadczenia lekturowe zostają w *Listach...* pokazane nie tylko jako źródło twórczej tęsknoty za przygodą i nieznanym, rozleglejszym światem, pierwszy impuls do opuszczenia domu („Wieczorami obmyślam ucieczkę. Jeśli

nie na Dziki Zachód, to gdziekolwiek. Byleby szarżować jak Indianie, strzelać, pojedynkować się i tropić, szpiegów wykrywać!” (s. 22). Są bowiem także zaczątkiem procesu bardziej niepokojącego – wyosobnienia z macierzystego świata, które będzie narastało wraz z rozwojem cyklu. Zażyłość Pawła z krowami, którym „dogadza jak narzeczonym” (s. 16) i z których każdą traktuje jak indywidualność, zadomowienie w oborze i na kolanach matki, pięknej i umiejącej iskać jak nikt inny, to w *Listach...* figury bezpiecznego bytowania w otoczeniu dobrze znajomym i, wydawałby się, jedynym możliwym, oddzielonym niewidoczną barierą od wszystkiego, co obce:

Jak lubię przyświecać dojeniu – usadowić się w żłobie z latarką w rękę! Matka siada na niziutkim zydelku. Obejmuje skopek kolanami, opiera głowę o krowi brzuch. Jej palce tłoczą mleko z artystyczną precyzją. (...) Od ściółki i od krów niesie się gęsty mleczny zapach, miesza się z kopciem latarki. Krowy żują siano, postękując. Ciepło, spokojnie, tysiąc kilometrów od świata (s. 19).

Literackie fabuły, pozornie potwierdzające dziecięce doświadczenia („W książkach pisze się, że tylko zwierzęta mogą być prawdziwymi przyjaciółmi”, s. 20), uwodzą jednak barwnością awanturnicznych, męskich przygód, w których nie ma miejsca na mleczne krowy ani na matkę, oddalając od tego, co było centrum istnienia, prowadząc do zdrady. Po kowbojsku wyćwiczone oko obraca się przeciw „narzeczonym”, a dystans do świata staje się dystansem wobec rzeczywistości, w której się wyrosło:

Więc, z książką na kolanach, siadam w rogu pastwiska obok kupy kamieni. Gdy któraś krowa zbliży się do pola, ciskam w nią brukowcem, a do takiej wprawy doszedłem, że z czterdziestu metrów nieomylnie trafiam w najleśniejsze miejsce – w spiczastą kość nad dołkiem (s. 23).

Nastoletni Paweł inicjację seksualną przeżywa wprawdzie w kontakcie z pniem brzozy, ale podniety erotycznej szuka w czytanych pod ławką *Zmorach*. Rówieśnicy nie dzielą jego czytelniczych pasji, ich erotyzm kształtuje pasionka, jednak i oni, za pośrednictwem szkoły i filmu, modelowani są przez lektury. Widać to wyraźnie w pokazowym geście Antka, który dumnie wybaczają „burkom z Kościan” wybite na zabawie oko. Takie zachowanie nie mieści się w wiejskiej tradycji honorowej zemsty, a Paweł bezbłędnie kojarzy je z *Krzyżakami*. Literacka, choć w zupełnie inny sposób, jest także późniejsza zemsta dawnego zabijaki na byłym oprawcy, obecnie kelnerze w białostockim *Cristalu*. Literackie imiona nadaje się psom i choć starsi buntują się przeciwko „*Trezorowi*”, „*Reksa*” są już w stanie zaakceptować, a buhajowi dają na imię Żuan („*Stolarczuki mówią, że to od »żuć«*”, *Brzozy*, s. 27). Przenikanie konwencji kultury wysokiej jest na tyle silne, że nawet głupia Chwośka stylizuje się na oszalałą Ofelię.

W *Listach z Rabarbaru* nie ma folkloru jako samodzielnego porządku symbolicznego. Wszelkie jego przejawy ukazane są jako w jakimś stopniu zależne

od kultury narodowej i kosmopolitycznej kultury popularnej, choć zazwyczaj stanowią twórcze przekształceniem wzorców. Ekspresyjna ilustracja z listu ojca okazuje się zadłużona estetycznie w kiczowatym oleodruku wiszącym nad jego łóżkiem. Opowieści i teorie zdziwaczałego stryka Filipa przetwarzają obejrzone przez niego filmy, zasłyszane strzępki radiowych wiadomości, propagandowych pogadanek i przemówień. Jakkolwiek interesujące są te dokumenty filtrowania powszechnych konwencji przez świat przeżyć konkretnej jednostki i jej macierzystego otoczenia społecznego – Redliński pokazał to zarówno w swojej prozie fikcjonalnej, jak w reportażach i *Nikiformach* – wydaje się, że jedynym naprawdę autentycznym „tekstem folkloru” jest dla autora zapis bytowania człowieka na zamieszkiwanej przez niego i uprawianej ziemi. Dlatego taką ofiarą wydaje się Pawłowi chęć darowania ziemi przez stryka Filipa:

jeśli uwzględnić wszystkie znaki jego przeżyć rozproszone po hektarach, ślady sierpa, cienie braci, zapach czosnku, smak postów – dla mnie nie istniejące, lecz dla stryka wiecznie żywe – chciał złożyć w moje ręce swoje wszystko (*Stryko Filip*, s. 118).

Mozolne zapisywanie tej księgi naznacza ją niezatartym indywidualnym piętnem i nie daje się porównać z żadnym innym wysiłkiem. Chyba tylko – z pisaniem. Zwłaszcza orka przypomina mozolne i powtarzalne zapisywanie karty:

W pociągu zacząłem liczyć w rytm postukiwania kół: hektar – sto metrów na sto metrów. Na szerokości stu metrów mieści się trzysta bruzd. Każda ma sto metrów długości. 300 bruzd x 100 metrów = 30 kilometrów. Rany boskie, to aż tyle?! Żeby raz zaorać jeden hektar, trzeba aż trzydziestu kilometrów nużącego dreptania, szarpaniny na nawrotach, potknięć, przekleć?! A ojciec chodzi tak w kieracie bruzd od lat sześćdziesięciu... (*Ferie wiosenne*, s. 84).

*Listy...* są bowiem, poza wszystkim innym, opowieścią o dorastaniu do pisarstwa – opowieścią paradoksalną, gdyż narrator, choć jest człowiekiem pisma, w żadnym momencie nie prezentuje się jako człowiek pióra. Przeciwnie, życie prowadzi go w innym kierunku, a biograficznym punktem dojścia cyklu jest rola młodego inżyniera, przedstawiciela inteligencji technicznej. Nieobecność tematu pisarstwa łatwo wytłumaczyć w porządku autobiograficznym. *Listy z Rabarbaru* są przecież pierwszą książką, ich autor stoi na początku drogi zawodowej, może nie być świadom, że odkrył właśnie swoje powołanie. Książka jednak, choć niedosłownie, opowiada przecież historię swojego powstania, pokazując, z jakich doświadczeń wynikała i skąd wziął się jej autor.

A wziął się oczywiście z uwiedzenia przez literaturę, która kompromituje się tu nieustannie, kłamie, obraca przeciw temu co najświętsze, ale – tryumfuje. Pisarz wyrósł z ucznia, który od małego poprawiał cudze teksty, i z donoszącego o cudzych grzechach ulubieńca księdza katechety. Wziął się także z ojcowego koślawego wiersza-podania, bo choć Paweł nie przejmie chyba po Józefie Kosym

gospodarstwa, będzie przecież jego spadkobiercą w tej właśnie najmniej spdziewanej dziedzinie. Pomaganie innym w pisaniu, i to w sprawach związanych z codzienną egzystencją, można odczytać jako załączek podobnego w duchu pisania własnego – gest zapowiadający reporterskie książki Redlińskiego oraz tłumaczący środowiskowe i socjolingwistyczne nachylenie całej jego twórczości. Na drugim, kreatywnym biegunie mistrzem przyszłego artysty jest wszakże głuchy kinoman, domorosły filozof, bazarz i fantasta z opowiadania zamykającego cykl. Snute przez stryja podczas coniedzielnych wizyt „historie cudaczne zmontowane z niemego dlań filmu” narrator komentuje: „Słuchałem tych opowieści z otwartymi ustami, porównywałem [z pierwowzorami – uzup. M. W.]. Jego filmy były po stokroć ciekawsze” (*Stryko Filip*, s. 112).

Jedyny moment, kiedy w *Listach...* wspomina się o zawodowej roli pisarza, naznaczony jest satyrycznym dystansem i pokazuje, że na wsi literaturę traktuje się tylko jako jeden z wariantów obcej oficjalności. Oto na zabawie inauguracyjnej działalność zbudowanej w czynie społecznym remizy, po wystąpieniu dukającego delegata z województwa, przechodzi czas na kulturę:

(...) jeden cyrkowiec i poeta z Białegostoku dawali na zmianę numery. Poeta czytał wiersze, a cyrkowiec pokazywał sztuczki z kartami, z kółeczkami i z gołębiem. Sztuczki wspaniałe, aż nam ręce puchły od oklasków. Poecie też nie żałowaliśmy, nich kto nie pomyśli, że w Rabarbarze na kulturze się nie znają (*Matura*, s. 54).

Może dlatego we wpisanej w zbiór podskórnej opowieści o rodowodzie i roli artysty istotniejsze od klasycznych motywów literatury autotematycznej: pisania i tworzenia, są sygnały wskazujące na usytuowanie bohatera wobec wspólnoty – dialektyczną jedność przynależności i obcości. Redliński naznacza Pawła fizycznym piętnem odrębności (rude włosy), umieszcza go na obrzeżach i pograniczach grup ludzkich, a zarazem obdarza zdolnością empatii, rozwiniętym poczuciem powinności wobec innych i więzi z tradycją. Z jednej strony przedstawia uparte dążenie chłopca do wydostania się z ograniczonego opłotkami rabarbarskiego świata, z drugiej – nadaje mu imię odziedziczone po dziadku, podkreślające związek z przeszłością, z rodem i rodziną, oraz „agrarne” nazwisko, które jest przecież nie tylko aluzją do nazwiska autora, lecz także znakiem wiążącym bohatera z ziemią.

Książka obfituje w sceny emblematyczne, pokazujące rozsuniecie między bohaterem a jego codziennym otoczeniem, eksponujące naznaczony uczuciem dystans, który pozwala widzieć i opisywać świat wyraźniej, ze wszystkimi przypadłościami, choć bynajmniej nie uszczęśliwia. W opowiadaniu *Brzozy* niemożność wzięcia udziału w dziecięcej zabawie w dorosłe życie jest oczywistą figurą nieumiejętności pełnego uczestnictwa w zwyczajnej egzystencji:

Z krzaków podglądam, jak bawi się moja kompania. Na przykład Stolarczuki wprowadzają do szałas Maryskę i Zoche. Potem dziewczęta wypuczają sukienki sia-

nem. Chodzą, chodzą wkoło ognia i wracają do szałas z Chwością. Jęczą, popłakują i wychodzą z niby-dzieckiem: lalką ze słomy i gałązek. Potem kopią w ziemi jamki, moszczą je trawą, usypiają swoje lale. A chłopcy pieką w ogniu kartofle, marchew...

Bawili się w dom. Wyrysowali na ziemi ściany, piece, łóżka. Potem udawali kłótnię. Zośka powiedziała Kazikowi: – Ty kurwiarzu! – On na to: A ty to lepsza! – i ciał ją w twarz. Szybko się pogodzili, bawiąc się w pieczenie chleba (*Brzozy*, s. 30–31).

Rola podglądacza i podsłuchiacza cudzych istnień, która w późniejszej twórczości Redlińskiego rozwinięta w wyrazistą sygnaturę pisarską, w *Listach z Rabarbaru* funkcjonuje jako znak usytuowania twórcy wobec świata, który go wydał. Pastuszek siadający z książką w rogu pastwiska, „święty młodzianek” sprzymierzający się „z księdzem i z Panem Bogiem” przeciw grzesznym rówieśnikom, prymusik, który „najszybciej liczy, najprędzej przepisuje, najczyściej rysuje” (*Brzozy*, s. 27, 29), wreszcie nastolatek proszący gazetę o otwarcie drogi do miasta – samotność Pawła bierze się po części ze szczerego przejęcia oficjalnymi normami społecznymi, z opowiedzenia się po stronie zewnętrznego autorytetu. Ale kolejne autorytety – ludzkie, kulturowe i społeczne – wyprowadzają go w pole. Obiecując przyjęcie do świata uniwersalnych wartości, każą zdradzić swoich, w końcu zaś nieuchronnie się kompromitują, pozostawiając adepta samemu sobie.

Jedności z pierwotnym środowiskiem ludzkim i przyrodniczym Paweł doświadcza tylko we wczesnym dzieciństwie. Później, po etapie odrzucenia i po – sugerowanym w książce i zaledwie przeczuwanym – rozczarowaniu szerokim światem, trwa ona tylko jako przedmiot niedającej się zaspokoić tęsknoty. Dopiero pisanie, literatura tworzona osobiście i autentycznie przeżyta pozwala symbolicznie i aksjologicznie powrócić na wieś, opisać zapach rodzinnego domu niezredukowany do „fetorku od wiader świńskich w sieni” (*Derma*, s. 61), choć przecież i z niego się składający. Warunkiem przekroczenia tej szczeliny jest jednak spojrzenie z dystansu na siebie samego, uczciwe postawienie sobie pytania, które ojciec zadaje Pawłowi po wizycie w ciechanowieckim skansenie i na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi:

Gdyśmy obrządzili wszystko, stanął na środku gumna. Uważnie przyglądał się wyłysiałym strzechom, koślawym węglom, zbutwiałym drzwiom. I powiedział jedno słowo, bezgranicznie smutne:

– Esponaty...

Siłą nawyku sprawdził jeszcze zamknięcie drzwi w oborze i stajni, przysunął bramę wjazdową. Ale zamiast pójść do chaty, jak czynił zawsze, usiadł na zrębie studni. (...) Zapatrzyłem się w czarny tunel, w kołyszące się gwiazdy – i cały świat się rozkołysał, kołysał, kołysał... I wtedy ojciec, nad gwiazdami i pod gwiazdami, pałac sporta w środku świata, wystękał:

– A ty? (*Muzeum*, s. 101).